



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Irena Burz

Chwila zadumy

Jest ciepły czerwcowy wieczór. Wracam z synem spacerkiem nad rzeki. Pod nogami ugina się sprężyste wilgotne sitowie. Zmierzch wchłonął w siebie brunatne konary olch, kładzie się cieniem na pniach brzoź. Zbliżamy się do ciemnej ściany zagajnika. Mrok otacza nas długimi ramionami strzępiastych gałęzi. Z kępy leszczyny, stojącej nieco na uboczu, wynurza się świetlik, a za nim zapalają się nowe światła. Ciała małych lotników otacza fosforyzująca mgiełka. Tory ich lotu opasują łukami niebo. Ostrożnie zrywam źdźbło trawy, na którym osiadł świetlik i podaję je dziecku. Błękitne światło sący się z dłoni chłopca, przecieka srebrzystą smugą między paluszkami. Kładę rękę na puszystych włosach syna i gubię się w odległych wspomnieniach.

Świetliki, niebo rozjaśnione światłami, wydarty nocy mrok. To wszystko już było. Wspomnienia mroźnej zimy 1945 roku odżywają na nowo. Drży ziemia od wybuchu pocisków. Front zbliża się w zawrotnym tempie. Niemiecka linia obrony załamała się nad polską Wisłą. Wąska droga, okopana stromymi zboczami, nie może pomieścić cofającej się w nieładzie armii. Czołgi rozsypane szeroką tyralierą zalewają pola. Śnieżna równina, pokryta sylwetkami maszyn, podobna jest do szachownicy, na której niewidzialny gracz raz jeszcze zaatakuję żelazne konie, osłaniające czarnego króla przed nieuchronnym matem. Z wieżyczek czołgów wychylają się głowy żołnierzy wyborowej dywizji Waffen SS. Przez zasunięte firankami okna patrzymy na strumień żelaza unoszący na swym grzbiecie stalowe hełmy. Drży ziemia w huku dział. Czołgi zatrzymują się. Z uchylonych włazów wyskakują żołnierze. Wchodzą do domów nisko przycupniętych przy zaspach. W drzwiach staje Niemiec z taśmą karabinu maszynowego, przewieszoną przez barki. Za nim wchodzą inni. Spod hełmów patrzą na nas nieufnie zmęczone oczy. Szczupły brunet prosi poprawną polszczyznę o jedzenie. Matka kładzie na stole kawał chleba, podaje mleko, które pachnie ciepłym aromatem. Patrzę na twarz żołnierza, który przed chwilą mówił po polsku. Siedzi nad pustą już szklanką i spogląda w okno. Palce nerwowo przesuwają się po taśmie karabinu maszynowego jak po upiornym amulecie.

Niemcy rozmawiają coraz głośniejszymi głosami. Zachrypnięty głos jednego z nich odrywa wzrok żołnierza od okna. Żelazny przybysz wstaje z krzesła i podchodzi do nas. Siedzimy zwartym półkolem przy rozgrzanym piecu. Żołnierz patrzy przez chwilę w popielnik iskrzący się drobnymi węglkami, chłonie w siebie ciepło. Zmęczenie czai się w opuszczonych kątach jego ust, drzemie w oczach, które z trudem bronią się przed opadającymi bezwładnie powiekami. Brzozowa kora gnie się w ogniu, jak blacha stojącego w płomieniach czołgu, a mokra miazga drewna skwierczy podobnie do ciała ludzkiego uwięzionego w żelaznym potrzasku. Przez uchylone drzwiczki pieca strzela wesołym płomieniem sucha gałązka jedliny. Może na przymknięte oczy żołnierza spada z trzaskających iskier tklive wspomnienie

dzieciństwa? W godzinie czającej się za oknem grozy, w dniu klęski, przywołuje wspomnienia, które zepchnął kiedyś na dno duszy, by stać się nadczłowiekiem wolnym od ludzkich uczuć. Milczenie nasze pogłębia jego osamotnienie. Słysząc stukot podbitych butów. W drzwiach staje zadyszany żołnierz. Krótkim, gardłowym okrzykiem podrywa siedzących do wymarszu. Ręce pośpiesznie zapinają paski hełmów, twarze zastygają w kamienne maski. Żelazny przybysz zatrzymał się na chwilę, zawisł spojrzeniem na twarzy matki. Mroźne powietrze, wiejące z uchylonych drzwi, podsyca ogień w piecu. Buchająca płomieniem smolna szczapa kładzie na jego twarzy krwawy odbłask, sypie się tysiącami iskier odbitych w łuskach długiej taśmy. Ściany domu drżą od wybuchu ciężkiego pocisku. Matka przygarnia ręką wystraszone dziecko. Przed domem dudnią kroki oddalających się Niemców.

Długa kolumna pojazdów z chrzęstem rusza sprzed naszych okien. Czołgi, jak potworne żuki, sumą wiejską drogą. Wydarty gąsienicami śnieg spada brudnymi płatami w przydrożne rowy. Drży ziemia pod uderzeniami pocisków. Słysząc coraz wyraźniej pojedyncze eksplozje. Za oknem zapada mrok. Patrzymy przez uchylone zasłony. Drogą jadą samochody, pędzą z wygaszonymi światłami motocykle, suną pancerne wozy ze skierowanymi w niebo lufami armat. Zmęczeni przeżyciami dnia zasypiamy zbici w ciasną gromadkę na jednym łóżku. Budzi nas ze snu walenie kolbą w drzwi. Matka podkręca knot lampy naftowej, drżącą ręką otwiera drzwi. Z mroku nocy wynurza się sylwetka uzbrojonego SS-mana. Niemiec brutalnie odpycha kobietę i wchodzi do pokoju. Światło lampy, podsycane mroźnym powietrzem wpadającym z sieni, niespokojnie chybotce. Z naramienników żołnierza patrzy na nas pustymi oczodołami patronka czarnej dywizji – śmierć. Przynaglani krzykami zbieramy się wszyscy w kuchni przy wygasłym piecu. Słysząc w naszym pokoju rumor, głośnie krzyki. Drzwi z trzaskiem otwierają się i zamykają. Żołnierze nawołują się niespokojnie. Z minuty na minutę rośnie kanonada. Słysząc blisko wybuchy pocisków. Matka uchyla zasłony okien. Krwawa luna zalewa pokój. Pośpiesznie nakładamy palta i wybiegamy przed dom. We wsi jazgoczą dziesiątki karabinów maszynowych. Ogień wielkimi jęzorami liże dach naszego domu. Pali się obora i stodoła. Pędzimy w pole, za groblę, która ostrą skarpą zwrócona jest do wsi. Kładziemy się na zboczu wału. Niebo tną na strzepy świetliste race. Nisko, nad głowami, lecą z sykiem upiorne świetliki, chyże posłanki śmierci. Płonące domy jak gigantyczne pochodnie oświetlają wieś. Z palącego się w pobliżu stogu słomy lecą na nas snopy iskier. We wsi słychać krzyki ludzi, ryk przerażonego bydła i bolesny skowyt psów przywiązanych łańcuchami do płonących domów. Strzały zlewają się w potworny huk, który rozpląszcza nas przy ziemi. Pali się kilkadziesiąt domów przy głównej szosie. Część wsi, rozciągnięta wzdłuż innej drogi, wyłania się z mroku nocy, wygarnięta zdradliwym światłem. Leżymy z twarzami zanurzonymi w śniegu. Przejmujący mróz wciska się pod nasze ubrania, jest równie dokuczliwy jak strach, który zewsząd nas otacza. Płoną z trzaskiem nowe zagrody. Nad wypalonymi domami wiszą nisko chmury dymu. Świt przychodzi niepostrzeżenie wyprzedzony luną pożarów. Wsłuchujemy się w odgłosy bitwy. Przycichł nieco huragan ognia, bo można już uchem wyłowić pojedyncze odgłosy walki. Matka unosi twarz znad śniegu. Widzę na jej policzkach kryształki lodu. Nie wiem, czy to są płatki śniegu czy może zamrożnięte łzy? W świetle słabnącej łuny dostrzegamy sylwetki niemieckich żołnierzy uciekających ze wsi do lasu. Gwiżdżą nad naszymi głowami pojedyncze serie karabinu maszynowego. Niemcy na chwilę przypadają do ziemi, podrywają się i giną w chmurach rozwleczonego dymu. Strzelanina słabnie, oddala się i wreszcie nad umęczoną wsią zalega błogosławiona, cisza.

Wracamy do domu. Zapach spalenizny przybiera na sile. W osmolonych belkach naszego domu pełźnie leniwie ogień. We wsi słychać pojedyncze strzały. Kryjemy się w murach spalonego chlewu. Przy łańcuchach dymią zwęglone szczątki zwierząt, których w porę nie zdążyliśmy uwolnić. Płomyki jak inkrustowane rubinami drewno, trawią resztki futryny. Patrząc przez wypalone ściany domu na drogę zrytą pociskami, zdartą ze śniegu gąsienicami czołgów. Osmolony komin i zwęglona akacja tworzą ramy obrazu, na którym pojawiają się sylwetki wolno jadących czołgów. Po kilku minutach, długich jak wieczność, dostrzegamy czerwone gwiazdy. Gardło zaciska się w spazmie wstrzymywanego płaczu. Czerwone gwiazdy widziane poprzez łzy wydłużają się jak warkocze sunących komet. Płacę ze wzruszenia przed ludźmi, których twarze nie mogę dostrzec. Płyną łzy za utraconym bezpowrotnie dzieciństwem, za zburzonym domem i pustymi łańcuchami w spalonej oborze. Czołgi jadą majestatycznie przez wieś jak na paradnej defiladzie, przed salutującymi w niebo kominami spalonych domów.

Mocne szarpnięcie za rękę wyrwa mnie z ciasnego kręgu wspomnień. Wracam powoli do rzeczywistości. Idziemy. Zagajnik strzela w niebo błękitnymi światełkami. Sygnały tajemniczych owadów zapowiadają nowe życie.